

L A U R A

*Adori*

*O czymkolwiek marzysz, zajmuj się tym teraz*

*Żywioły  
Lukrecji*

L I R A  
WYDAWNICTWO



Żywioły  
*Lukrecji*



L A U R A

*Adori*

Żywioty  
*Lukrecji*

L i R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.  
Wydanie pierwsze  
Warszawa 2018  
ISBN: 978-83-65838-34-6

## ROZDZIAŁ 1

*Jeśli nie wiesz,  
od czego zacząć,  
zaczynij od siebie*

Żegnaj, niewiniątko! Przyczyno kobiecej niedoli — czas cię uśmiercić. Czy istnieje coś gorszego niż nieświadomy przymus, by pozostać na zawsze grzeczną dziewczynką? Niektóre z nas cierpią na ten syndrom do końca życia, nie pozwalając sobie na dorosłość. Na bycie kobietą, która nawet jeśli zazwyczaj jest słodsza od karmelu, czasem zamienia się w rozwścieczone zwierzę i wie, że jej wolno. Że to normalne w dżungli codzienności. Po prostu

— czasem się zdarza. Natomiast bycie niewiniątkiem, tą wiecznie miłą, to więzienie. Niezdolność do odczuwania życia wszystkimi zmysłami. Kto jak kto, ale ja wiem o tym najlepiej i nie zawahałabym się użyć swojej bynajmniej nie niewinnej wściekłości... gdyby tylko Konstanty wreszcie się tu zjawił.

Ale niestety. Nic nie jest takie, jakie miało być. Wrześnie słońce zaczęło się już osuwać za horyzont. Dochodziło dwadzieścia pięć po ósmej, a jego nadal nie było. Niestabilny stolik kawiarni chybotął się za każdym razem, gdy wykonywałam najmniejszy ruch, a kelner, zupełnie jakbym była niewidzialna, błądził wzrokiem po wszystkich twarzach, tylko nie dostrzegał mojej. A ściślej mojego wzroku, którym błagalnie za nim wodziłam. Czułam się jak ofiara męskiej zмовy. Byłam gotowa wyłączyć komórkę, by stać się niedostępną, a potem wyjść stąd i zza przeciwnych filarów obserwować, jak podenerwowany Konstanty wpadnie tu zdyszany i nie mogąc mnie znaleźć, zacznie bezskutecznie za mną wydzwaniać. Już prawie poczułam słodki smak zemsty i zaczęłam się nią rozkoszować, kiedy zabręczała moja komórka. Chwyciłam za telefon i jednym tchem chciałam wykrzyknąć Konstantemu, co sądzę o jego dżentelmeństwie.

— *Ciao, bella* — dobiegł mnie ożywiony głos Claudynki. — Nie wyobrażasz sobie, co się stało — dodała jednym ze swoich bardziej sensacyjnych tonów.

— Napotkana na Marszałkowskiej cyganka przepowiedziała ci, że twoja przyjaciółka urodzi dzieciokilogramowe trojaczki — zaproponowałam grobowym tonem.

— Lukrusiu, czyżbyś czytała kronikę kuriozów?  
— Zaśmiała się Claudynka.

— Nie, po prostu mam ważące kilkadziesiąt kilogramów myśli i złe przeczucia — odpowiedziałam, machając rozpaczliwie ręką w kierunku kelnera.

— Kochana, musisz się zrelaksować, na początku ciąży wahania nastrojów to zupełnie normalne następstwo burzy hormonalnej. Najważniejsza jest akceptacja tego stanu.

— Konia z rzędem temu, kto mi w tym dopomoże — ironizowałam.

— Zrobię to dla ciebie, *bella*, bo w przeciwnym razie twoja nerwowość może zainfekować mózg małości, a wtedy...

— O nie! Błagam, tylko mnie nie strasz! — przerwałam kategoriycznym tonem. — Już i tak jako seniorka rozplodowa, kiedy myślę o zestawie

czekających mnie badań i zagrożeń, chce mi się wyc — jęknęłam, wstając z krzesła.

Nie byłam pewna, czy bardziej mnie irytuje przekrzykiwanie siedzących przy stolikach ludzi, czy to, że obsługa nie widzi, że siedzę tu samotna jak kolek. Do tego kolek w początkowej fazie ciąży, której może i nie widać, ale jakże wyraźnie ją czuć.

— No, *darling*, chyba rzeczywiście masz dziś sztorm hormonalny. W Chicago jakaś sześćdziesięciolatka właśnie urodziła dziecko swojej córce, a ty mi tu wyjeżdżasz z seniorką rozplodową? — Roześmiała się Claudynka.

— W Chicago to sobie mogą, wiesz co — odburknęłam. — Zaraz, jak to córce? — zapytałam półprzymtomnie, wychodząc na zastawiony samochodami chodnik wzdłuż ulicy Mokotowskiej.

— Normalnie, córka ronila kolejne ciążę, bo miała jakiś problem z macicą, więc pobrali od niej jajeczko, zrobili zapłodnienie *in vitro* i wszczepili zarodek jej matce, no a ta miała macicę w porządku. Po trzydziestu dziewięciu tygodniach urodziła zdrowego chłopczyka, czyli swojego wnuka — wyjaśniła rzeczowo Claudynka.

— Madonno — pisałam z wrażenia, jednocześnie truchlejąc na samą myśl, że moja własna matka miałyby urodzić moje dziecko. — Dobrze,

że przynajmniej macica, jak na razie, mi działa — wymamrotałam pod nosem.

— A co nie działa? — zapytała rzeczowo Claudynka. — Bo ja tu właśnie dzwonię zakomunikować, że wszystko działa. Znaleźliśmy boskie miejsce na nasz ośrodek, w którym będziesz prowadzić warsztaty zdrowej kuchni.

— Ech, chociaż ty jesteś niezawodna — powiedziałam łżejszym tonem.

— Dawaj! Co się stało?

— Słuchaj, chyba muszę pogadać z Konstantym — wymamrotałam.

— Tylko nie mów, że trwa wojna o imię albo że chcesz, by dziecko nosiło twoje nazwisko. Ta feministyczna moda jest nie do zniesienia. — Podekscytowała się Claudynka. — Właśnie Jeremi mi opowiadał o swojej znajomej, która...

— Claudynko, odkąd Konstanty dowiedział się, że jestem w ciąży, cały czas jest jakiś nieprzytomny, spóźnia się, o wszystkim zapomina... — Zawiesiłam na chwilę głos, by złapać głębszy oddech. — Myślisz, że on się wystraszył i planuje ucieczkę? — wydusiłam wreszcie.

Był piękny jesienny wieczór. Liście, mocno jeszcze trzymające się konarów drzew, mieniły się

pierwszymi zażółceniami. Niebo łagodnie ciemniało, obiecując słoneczny dzień nazajutrz, a ja, zamiast spacerować u boku ukochanego alejami parku i omawiać z nim kolory ścian w dziecięcym pokoju, nie miałam pojęcia nie tylko, gdzie będzie ten pokój, ale co gorsza — nie wiedziałam nawet, gdzie podziewa się ojciec mojego dziecka, który jeszcze do niedawna szczyił się swoją punktualnością.

— Lukrusiu — powiedziała łagodnie Claudynka po chwili milczenia. — Prawdziwa kobieta rozumie moc swoich hormonów, ale nie wyciąga życiowych wniosków na skutek ich wzmożonego działania.

— Co masz na myśli? — Zaniekokoiliam się.

— Po prostu przestań snuć katastroficzne wizje.

— A co mam snuć, skoro go nie ma?

— To normalne, że Konstany musi przejść teraz coś na kształt przebudzenia.

— Sugerujesz, że zaszywa się gdzieś pod drzewem, zamyka oczy i siedzi w bezruchu, świadom swojego uśpienia, czekając na oświecenie w temacie, jaką to obrać wizję ojcorzyństwa? — zakpiłam, próbując sama siebie rozbawić tą koncepcją.

— Po prostu przestawia się na tryb kooperacji i nową wizję waszego wspólnego życia. Może i jest więc trochę zamysłony, ale to normalne — wyjaśniła

mi moja praktyczna przyjaciółka, akcentując ostatnie słowo.

— To w ogóle nie jest normalne. — Westchnęłam.  
— Czekam na niego od pół godziny. Muszę z nim porozmawiać. Czy odpowiedzialny facet w takiej chwili nie pojmuje, że kobieta w ciąży może czuć się porzucona?! — krzyknęłam.

— Lukrusiu, spróbuj głębiej oddychać. Rozumiem, że źle się czujesz, że potrzebujesz teraz więcej bliskości i te rzeczy, ale w żadnym wypadku z nim o tym nie rozmawiaj.

— Dlaczego?

— Przecież dobrze wiesz, że mężczyźni absolutnie nie reagują na słowa. Nieraz to analizowałyśmy.

— Najgorsze, że na nic nie reagują — jęknęłam, bo trudno było nie przyznać racji Claudynce.

— O, nieprawda — zaprotestowała. — Reagują na brak kontaktu.

— To co ja mam robić?!

— Jedyne, co możesz zrobić, to być nieobecną tam, gdzie zawsze byłaś. Tylko to zdoła zauważyć — powiedziała Claudynka swoim rzeczowym tonem.

W takich chwilach jak ta była po prostu niezastąpiona. Umiała przywrócić człowieka do pionu. Zrobić szybką analizę sytuacji i co najważniejsze

— zaproponować proste i konkretne wskazówki działania. Od razu rozprężyła mi się twarz, a ciśnięta ze złości żuchwa uwolniła lekki uśmiech. Wzięłam głębszy oddech i wypuściłam powoli powietrze. A potem powtórzyłam to drugi raz i trzeci. Klatka piersiowa wysunęła się naprzód, ku życiu, ramiona lekko opadły. Poczułam, jak niesamowicie ciepło rozchodzi się w dole mojego podbrzusza, zupełnie jakby ta mała istotka zaczęła tam nagle skakać niczym maciupęńka piłeczka, wprawiając w ruch wszystkie moje pozlepiane ze sobą tkanki i budząc je z uśpienia.

Żadnych kłótni z rzeczywistością! — pomyślałam, gładząc się delikatnie po brzuchu, kiedy skończyłam rozmowę z Claudynką. Wystarczy rozpalić ogień i płonąć. Utrzymywać stałą temperaturę wewnętrznego ciepła, które ogrzewa nas od środka, niezależnie od zewnętrznych podmuchów wiatru i słów innych ludzi. Tylko tyle. Wyłączyłam komórkę i poszłam na spacer do Łazienek. Może Konstanty naprawdę przestawia się na nowe tory i planuje, jak zredukować za kilka miesięcy liczbę godzin przeznaczonych na sesje z klientami, by spędzać czas z naszym dzieckiem? Chodzić na wspólne spacer, być świadkiem tych wszystkich pierwszych razów,

pierwszego siadania, pierwszych rosnących zębów, pierwszych artykułowanych dźwięków, które przekształcają się w słowa. Na samą myśl wypełniło mnie błogie ciepło. Ojcowska miłość to niesamowita siła, dzięki której dziecko osadza się w sobie, czuje swoje granice i potem potrafi ich strzec. Umie wychodzić do świata, by działać, zdobywać, odważnie iść naprzód, podążać za swoim sukcesem, stawiać czoła trudnościom, dokańczając rozpoczęte zadania. Ma rozmach, by marzyć.

\* \* \*

Myślałam o tym wszystkim, co będzie szczęściem naszego dziecka, a czego tak bardzo brakowało mnie. O cechach płynących z tego, co męskie, których z braku ojca sama musiałam się nauczyć wiele lat po tym, jak opuściłam schron dzieciństwa i zaczęłam sobie uświadamiać, że ceną za jego nieobecność jest to, że wybieram niedostępnych partnerów. Szłam bardzo wolno, przypatrując się drzewom, próbowałam wyobrazić sobie prędkość ich wzrostu. O ile milimetrów wyciągną się ku górze do chwili, kiedy na świat przyjdzie ta mała istota? Zapach lekko wilgotnej ziemi mieszał się

z przynoszoną raz po raz przez podmuch wiatru zawieszoną perfum mijanych przechodniów. Wciąż jeszcze nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Od czasu, kiedy porzuciłam moje korporacyjne życie w Mediolanie i towarzyszącą mu udrękę, nie minął nawet rok. A ja wyrzuciłam swój los do góry nogami. Zdażyłam już na dobre osiedlić się w Warszawie, wymyślić nowy sposób na życie, zacząć zarabiać na tym, co naprawdę sprawia mi przyjemność, stając się uznaną ekspertką kulinarną. I jakby tego było mało, znalazłam to, czego zawsze szukałam — mężczyznę mojego życia, z którym w niespełna cztery miesiące po pierwszym spotkaniu zaszłam w ciążę, mimo swoich czterdziestu lat. Podniosłam do góry rękę i rozpostarłam je w powietrzu jak wielki ptak, szykujący się do lotu.

— To wszystko wygląda jak sen — powiedziałam sama do siebie, na głos, rozglądając się wokół.

A może raczej wyglądałoby... Gdybym jeszcze tylko potrafiła sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy przyjdzie na świat nasze dziecko. Konstanty nawet nie wspomina o mojej przeprowadzce do niego. Tym bardziej trudno mi uwierzyć, że wprowadzi się do mojego małego mieszkanca, które wynajmuję od dość nieprzewidywalnego znajomego Wery, nie

mając nawet gwarancji, jak długo mogę w nim zostać. A do tego zbliża się czas badań prenatalnych i związana z nimi nerwówka. Na samą myśl zrobiło mi się gorąco. Może powinnam ustalić konkretny plan, a potem przedstawić go Konstantemu? A co, jeśli poczuje się zbyt przyciśnięty do ściany i zacznie szukać ucieczkowych rozwiązań? Jak torpeda wystrzeliło mi przed oczami wspomnienie mojej mediolańskiej przyjaciółki, która wbrew swojemu chłopakowi zaszła w ciążę metodą podmiany pigułek antykoncepcyjnych na tabletki kwasu foliowego, które dzień w dzień zażywała. A kiedy obwieściła mu triumfalnie, że to dziecko to ich przeznaczenie, skoro pcha się na świat pomimo antykoncepcji, on niestety odkrył, że jego przeznaczeniem jest wspinalczka wysokogórska, i ruszył czym prędzej w Andy, gdzie po kilku tygodniach los pchnął go w ramiona jakiejś alpinistki i ślad po nich zaginął.

No cóż, jak mawiała moja ukochana ciotka Aurelia: *Kobieta jest mądrzejsza od mężczyzny, ale tylko wtedy czerpie z tego profity, gdy ukryje przed nim ten fakt*. Niewykluczone, że przeprowadzka z Mediolanu do Warszawy i radykalna zmiana życia to pikus w porównaniu z wyzwaniem, jakim wydaje się omówienie tematu wspólnego mieszkania

z Konstantym. Usiadłam na ławce i zaczęłam obserwować pluskające się w stawie kaczkę. Przynajmniej one nie musiały się zastanawiać, gdzie się szwendają ich samce. Rzuciłam kamyki w ciemnoniebieską taflę, wpatrując się w powstające wokół kręgi. Chciałam poświęcić się chwili relaksującej medytacji, ale uznałam, że może lepiej poczytać komentarze na blogu. Nic nie daje większej motywacji do działania niż uczucie, że to, co robisz, zupełnie jak kamyczek rzucony z właściwym rozmachem, zatacza coraz szersze kręgi. Włączyłam telefon.

Niestety. Konstanty nawet nie wysłał mi SMS-a. Tylko po to, by przewyciężyć przemożną chęć wykrzyknięcia mu tego, że prawdopodobnie będzie najgorszym ojcem świata, weszłam na moją ulubioną stronę z I-Chingiem, pokładając nadzieję w wyroczni. Czy mam wierzyć, że jest tak, jak mówi Claudynka — że on tylko się przysposabia do nowej roli? Wylosowałam heksagram. Wypadł numer 49: Rewolucja. Poczułam skurcz w żołądku. Różnych rzeczy możesz pragnąć w chwili takiej jak ta, ale — na litość boską — nie rewolucji! *Jezioro na górze. Ogień na dole.* Podpis donosił, że przede mną radykalna zmiana, która odmieni całe moje życie. Nie oglądaj się za siebie, bądź wierny swojej

wizji przyszłości... Świetnie. Tylko jak wdrażać wizję udanej rodziny, gdy nie masz pojęcia, co planuje i gdzie się podziewa jej męski element?

— Ludzie nie rozumieją ptaków — usłyszałam głos z boku.

Nawet nie zauważyłam, kiedy wyrosła obok mnie ta staruszka. Drobniutka, niewysoka, z tak pomarszczoną twarzą, że mogłaby mieć z dziewięćdziesiąt lat, ale w jej oczach było tyle życia, a w wyprostowanej postawie tyle śmiałości, że trudno było określić, w jakim naprawdę jest wieku. Patrząc na nią, mimowolnie się uśmiechnęłam.

— Gdybyśmy nie rozumieli tylko ptaków... — Westchnęłam. — Przecież my nawet siebie nawzajem nie pojmujemy.

— O, wprost przeciwnie, siebie nawzajem rozumiemy. — Zaśmiała się starsza pani.

— Napewno nie dotyczy to relacji damsko-męskich.

— Wszystko zawsze zaczyna się od nas. Bywamy zbyt zajęci szukaniem dla siebie samych głasków, by dawać je innym — powiedziała kobieta, wpatrując się w kaczkę.

— Ale co mają do tego ptaki?

— Do ptaków niektórzy ludzie mają stosunek zupełnie taki jak do urzędzeń. Sypią im okruchy,

żeby patrzeć, jak one, niczym na komendę, zaczną je dziobać. A chleb tylko im szkodzi.

— Może samotni ludzie przez to dzielenie się bułką mają poczucie budowania jakiejś wspólnoty? — powiedziałam bez przekonania.

Chciałam nawet się przyznać, że sama nieraz karmiłam ptactwo w Łazienkach, ale akurat zadźwięczał sygnał SMS-a. Chwyciłam raptownie za torebkę i z nadzieją wyciągnęłam z niej telefon. Jedyne, co na mnie czekało, to przypomnienie o zbliżającej się płatności. Zrobiło mi się chłodno. Minęła już ponad godzina, a Konstanty się nie odezwał. Musiało się coś stać. Może spóźnił się jakiś klient i przeciągnęła mu się sesja? A może zderzył się czołowo z rozpędzonym wozem straży pożarnej? Oblała mnie fala gorąca. Chwyciłam za gazetę, żeby się powachlować, i przypomniałam sobie o staruszce. Przyglądała mi się czujnym wzrokiem.

— Spójrz na ten staw — powiedziała do mnie łagodnym głosem. — Jeśli będziesz spokojna jak lustro wody, to męska energia sama do ciebie przypłynie.

— Spokój to za mało, trzeba działać. — Westchnęłam.

— Nie zawsze. To zupełnie jak ze zwierzętami, które intuicyjnie idą do wodopoju, żeby się z niego napić energii życia, by poczuć przy źródle harmonię.

— Łatwo pani mówić, muszę chyba tej męskiej energii zmienić kompas, bo coś mi się wydaje, że od godziny błądzi w niewłaściwym rewirze — próbowałam zażartować, zdumiona przenikliwością nieznanym.

— Nie możesz w mężczyźnie niczego zmienić. Mężczyzna zmienia się tylko sam z siebie. Zdarza się to jedynie w dwóch przypadkach — powiedziała rzeczowo tajemnicza staruszka. — Kiedy poniesie życiową klęskę albo kiedy naprawdę kogoś pokocha i nie będzie chciał go stracić.

— Ho ho... To skoro mój supermen pod wpływem miłości akurat zmienia się na gorsze i nie obawia się ewentualnej straty, to chyba pozostało mi czekać na klęskę, żeby wreszcie poczuł, że go potrzebuję? — Roześmiałam się.

— Lepiej, żeby czuł, że jesteś z nim z wyboru, a nie dlatego, że go potrzebujesz. Tylko wtedy fala będzie płynąć — powiedziała staruszka, wskazując na parę ptaków szybujących obok siebie po niebie. — Zamknij oczy i wyobraź sobie, że masz dla siebie całe przestworza. Że rozpościeraszk skrzydła,

wzbijasz się nad ziemię i fruniesz. A on jest tuż obok. Nie musisz się odwracać, czujesz, że on tam jest. Że szybuje z tą samą prędkością. Po prostu fruniesz, patrząc przed siebie. Coraz dalej i dalej...

Kiedy otworzyłam oczy, na ławce było pusto. Rozejrzałam się wokół, ale poza parą nastolatków po drugiej stronie stawu nie dostrzegłam żywej duszy. Nie byłam pewna, czy ta tajemnicza wróżka naprawdę jeszcze przed chwilą tu siedziała, czy była tylko częścią mojego snu. Może nie miało to aż takiego znaczenia. Czułam się lżejsza. Przypomniałam sobie starą maksymę jakiegoś poety: *Bądź sobą, bo wszyscy inni są już zajęci*. Roześmiałam się na głos i ruszyłam w stronę domu, z czułością zerkając na kasztanowiec, z którego powoli opadały pierwsze nasiona. Te jadalne już za moment będą święcić chwilę swojego triumfu w brytfance, do której wystarczy wlać na dno trochę wody. Lekko ponacinane, wypuszczają aromatyczne soki, przywodząc przez nozdrza paryskie obrazki, a podniebieniu dostarczając przyjemnych wrażeń.

Tymczasem albo pod wpływem odcienia szala, który zarzuciłam na ramiona, albo z głodu słońca zapagnęłam ulec innej jesiennej pokusie. Z pozorów niewyraźny smak owoców kaka skazuje je na

przeoczenie przez słodkolubnych smakoszy. Dla mnie sama radość wbijania zębów w ich mięsz jest już dostatecznym powodem, by podreptać po nie do odległego od domu supersamu. To jedyne miejsce w okolicy, gdzie można znaleźć mięsiste owoce, które zdążyły dojrzeć, a jeszcze nie zaczęły się rozpadać. W tej właśnie formie ujawniają swoją najprawdziwszą słodycz. Już czułam ten smak. Sałata radicchio, czerwone winogrona, orzeszki piniowe, świeża kolendra i owoce kaki. Wszystko w delikatnym sosie z oliwy z oliwek zmieszanej ze świeżo zmielonym pieprzem, solą himalajską, sokiem wyciśniętym z cytryny, posypane czarnym sezamem.

Smaki wprawiły w ruch wyobraźnię, ale nie uwolniły mnie od natarczywych pytań. Zanim doszłam do sklepu, jednak się złamałam i zadzwoniłam do Konstantego. Raz, drugi, nic. Telefon milczał jak zaklęty. Próbowалам liczyć oddechy, żeby znów się nie zirytować. Jeśli będziesz spokojna jak lustro wody, to męska energia sama do ciebie przyplynie — powtórzyła słowa tajemniczej staruszki. Energia życia jest przy źródle. Energia życia jest we mnie... Energia... Energia... Tylko jak się podpiąć do tego zasilania?

Na szczęście w supersamie nie było tłoku. Ale nie było również owoców kaki. Zrekompensowałam je

sobie dwoma dojrzałymi granatami. W końcu, czy istnieje piękniejszy symbol płodności niż granat ze swoją niezliczoną ilością pestek przypominających małe jajeczka? Kupiłam jeszcze cytrusy, natkę i jarmuż na koktajle. Do tego kilka malinowych pomidorów i mogłam ruszać spokojnym krokiem w kierunku domu, delektując się podmuchami ciepłego wiatru.

— Piękny szal.

— Dziękuję! — rzuciłam pogodnie w stronę głosu, który dobiegał gdzieś z boku.

— Jest pani barwniejsza niż cała ta jesień dookoła — kontynuował nieznamomy brunet w świetnie skrojonej marynarce, zatrzymując się w pół kroku.

— Bo to będzie najbarwniejsza jesień tego stulecia. — Uśmiechnęłam się, zerkając kokieteryjnie w jego stronę.

Najwyraźniej moc spokoju zaczęła już kierować energie męskie w stronę mojego źródła — pomyślałam z zadowoleniem. Może rzeczywiście to, co jest wokół, to manifestacja naszych myśli? Tylko że te myśli wymagają nieustannego detoksu. I nie bardzo wiadomo, jak utrzymać je w harmonii. Zapragnęłam usłyszeć Werę, ale jej telefon, podobnie jak Konstantego, milczał.

\* \* \*

W domu czekał na mnie Dolcevito. Ponacinałam pomidory, delektując się ich słodkawym aromatem, posypałam je solą, pieprzem, odrobiną oregano, papryczki i czosnku, polałam oliwą, na koniec dodałam kwiat mojego sekretu, czyli troszkę startej skórki z pomarańczy i cytryny, i wstawiłam całość do rozgrzanego piekarnika. Mając przed sobą wolną godzinę, zabrałam wiercące się już z błagalnym spojrzeniem buldożka na krótki spacer. Wera przysłała dziwny SMS, że oddzwoni dopiero jutro, ale żebym niczym się dziś nie martwiła. Czyżby Claudynka już zdążyła jej streścić naszą rozmowę? To się nazywa solidarność jajników, uśmiechnęłam się sama do siebie. Przyjaźń — przynajmniej ta część mojego życia była zupełnie wolna od niepokojów. Jak całodobowa elektrownia, która wciąż wysyła ci doładowanie. Wysłałam do Konstantego SMS. Bez słów, tylko dwa znaki zapytania.

\* \* \*

Po wyjściu spod prysznicza spojrzałam na telefon. Żadnych oznak życia. A jeśli on kogoś poznał? Podobno

czas ciąży partnerki to okres najwyższej podatności na zdradę. Zanurkowałam do internetu. Statystyki dowodzą, że najgorszy jest okres pierwszego i trzeciego trymestru. Najczęściej zdradzają mężczyźni typu Z — supermeni w stylu golfisty Tigera Woodsa. Tylko typ Y (najrzadziej występujący) pożąda kobietę w ciąży jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Typ X w czasie oczekiwania na dziecko odnotowuje ogólny spadek libido, co znacznie redukuje ryzyko zdrady. Tylko skąd mam wiedzieć, jakie są szanse, że Konstanty reprezentuje typ Y lub X?

Znająca się na wszystkim Claudynka miała zajęty numer telefonu. Żeby ochłonąć, włączyłam medytację światła i wsunęłam się pod kołdrę. Jedyna szansa, by choć trochę uspokoić emocje przed snem. Ledwie przyjęłam pozycję zrelaksowaną i poczułam, jak rozprężają się moje barki, jak rozluźniają się pośladki, uda i łydki, zadzwonił dzwonek do drzwi.

Było po dwudziestej trzeciej. Na wycieracze stał potargany Konstanty. Miał wymiętą koszulę i bukiet lekko sfatygowanych lewkonii w ręku.

— Kochanie, przepraszam, nie miałem jak cię zawiadomić — wydusił.

— O czym? — szepnęłam prawie niesłyszalnym tonem.

- Zostawiłem telefon w hotelu w Józefowie.
- W jakim hotelu?
- Tam, gdzie prowadziłem szkolenie.
- Nie mogłeś przyjechać bez telefonu?
- Przyjechałem.
- Ale dokąd?
- Pędziłem na oślep do Warszawy. Lenka wpakowała się rowerem pod jakieś auto. Właśnie wracam ze szpitala. Czekałem na wynik badań, na szczęście jest tylko lekko poobijana, nie ma wstrząśnienia mózgu ani żadnych wewnętrznych obrażeń, więc...
- Dlaczego nie zadzwoniłeś do mnie z komórki Lenki, żeby mi o tym powiedzieć? — zapytałam z wyrzutem.
- Wybacz, Lukrusiu — zawiesił głos. — Po prostu na to nie wpadłem.
- Nie pomyślałeś o tym, że ja odchodzę od zmysłów, że się martwię? Że jestem w ciąży, więc nie mogę się denerwować?! — wykrzyczałam jednym tchem.
- Uspokój się, kochanie — powiedział ciepłym tonem Konstanty, odgarniając mi włosy z twarzy.
- Jak mam się uspokoić?
- Przecież już jestem, nic się nie stało.

— Czy ty nie rozumiesz, że ja czuję teraz wszystko podwójnie? — szepnęłam przez łzy.

— Rozumiem, wszystko rozumiem... Chodź, położę cię do łóżka — odparł Konstanty, obejmując mnie ramieniem.

Zakręciło mi się w głowie. Może z emocji, a może od intensywności zapachów, mieszanki jego perfum, potu i upieczonych w ziołach pomidorów. Gdzieś, jakby z oddali, odbite echem od wnętrza ciała dopływały do mnie urywane słowa. Pozwól się kochać... uspij to, przez co byłaś nieszczęśliwa w związkach... im więcej będzie w tobie spokoju, tym więcej popłynie energii miłości... energia podąży za uwagą... uwaga przyciąga miłość... wdech... wydech... *uno... due... tre...* czekasz na to, co najważniejsze...

Moje ramiona otoczyły jak obręcz jego plecy. Ciało sklezione z ciałem zatraciło swoje granice. Złączeni w jedną bryłę przeturlaliśmy się przez łóżko. Wpisani we wspólny rytm, wypadkową naszych oddechów i uderzeń serc, kołysaliśmy się, raz przyspieszając, raz zwalniając, jakby napędzani jakąś zewnętrzną siłą, metronomem, który wystukiwał tajemne tempo naszej bliskości. Czułam się lekka, jakbym składała się tylko

z tych najczulszych punktów ciała, które odbierały przepływające między nami wibracje. Płynęłam. Coraz szybciej, coraz dalej. Popychana przez lawę rozkoszy.